Nr. 5. We Lwowie dnia 3. lutego 1901. Rok 9.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

O Krzyżakach.

Przez

1) Marję Konopnicką.

Ogromna dalekość dziejowa i ogromna uczuciowa bliskość — oto dwa naczelne momenty Krzyżaków.

Dalekość tkwi w ludziach, w rzeczach, w wypadkach, i otwiera przed nami głęboką, skroświekową perspektywę, w którą, gdy patrzeć chcemy, duch nasz rzuca się w nią, jak wichr i jak płomień. Tak potężnie i niepowstrzymanie przyciąga nas, porywa uczuciowa bliskość, wypełniająca epickie przestrzenie czasu dramatem żywym, rozgrywającym się od dni prastarych, aż po Grunwald i od Grunwaldu, aż po dzień dzisiejszy,

Której potęgi nie ma w sobie ani „Potop“, ani „Pan Wołodyjowski“, ani „Ogniem i Mieczem“. Bo one mówią o nagłych wybuchach czasowej powodzi, która zerwała tamy, zadała klęski, ale — odparta — minęła i pewno nie wróci. Zaś „Krzyżacy“ mówią o wielkiej, wielkiej wodzie, podmywającej nas stale i na każdy czas.

Nad Dzikiemi polami, i nad Zbarażem i nad murami Jasnej Góry przeszumiały skrzydła potężnych wichrów, umiatając prochy zwycięzców i zwyciężonych w jeden mir, w jedno zapomnienie. Ale nad Grunwaldem nie przeszumiały te skrzydła. Grunwald dziś jeszcze mógłby rozegrzmieć nad światem równą dawnej nawałnicą, gdyby wypadki dziejowe dały pole rwącym się przeciw sobie duchom, tak wszystkie pierwiastki przedwiekowej burzy tkwią w atmosferze współczesnego życia.

Nad Dzikiemi polami i nad Zbarażem i nad szturmem Jasnej Góry zapadła „dawność“ dziejowa, tak, jak dawność prawna zapada nad niepopieranemi przez zwaśnione strony sporami. Chwila historyczna minęła, bronie zwróciły się gdzieindziej, lub zgoła opadły, bój ucichł, wróg przestał być wrogiem.

Ale nad Grunwaldem dawność taka nie zapadła. Proces dziejowy trwa, wre walka nieugasła, a chociaż bronie są dziś inne, moc nienawiści, która kieruje niemi, równie jest śmiertelna. A tak, ten wielki rapsod epicki drga z końca w koniec wibrującym dreszczem żywego dramatu, a ta powieść historyczna ma w sobie tyle psychicznej aktualności, iż w ręku mniejszej miary, niż Sienkiewicz, mistrza, spokój i posągowość jej linji, co chwila namiętnie byłyby zrywane.

Gdy wszakże dzieło stoi pełne i zrównoważone w przedziwnym spokoju swojej skończoności, pytam się: zkąd to poszło, i jak to osiągnąć mógł twórca, że materja wprost kipiąca wrzątkiem współczesnych oburzeń, z formy mu nie wybiegła, że dała się owszem tak kornie ujarzmić i przelać w kształt doskonałego epickiego piękna!

Otóż, gdy się zblizka przyglądam tej sprawie, spostrzegam, iż stało się to przedewszystkiem mocą szczęśliwie wybranych w zamyśle, i bacznie strzeżonych w wykonaniu granic dziejowego momentu. Moment jest wyniosły, mało co wysunięty przed Grunwaldzkie pole. Z jednej strony morze krzywd i walk, daleko po za powieścią rozlane, i tylko co bliższą falą w wątek jej bijące; z drugiej piorunna burza odwetu, która oczyszcza atmosferę i przynosi ukojenie duchom.

Ukojenie chwilowe, to prawda. Ale na tej jednej chwili zatknął Sienkiewicz sztandar zwycięztwa sprawiedliwości tak potężnie, jakby ona wieczną być miała.

Nic to, że czarny jednogłowy orzeł dźwignie się zaś z bojowiska i zaszumi nad nami w złowróżące pióra. Nic to, że płaszcz krzyżacki białością swoją i krzyżem osłaniający morderczą, plemienną walkę, opadł i wdeptany był w grunwaldzki majdan po to tylko, aby odkryć wznie-

sione przeciw nam ramię niemieckie i pierś niemiecką — bez krzyża!

Dla dzieła, osadzonego w mistrzowsko wybranym dziejowym momencie, tu jest kres, tu jest pełnia jego epickiej całości.

Wie o tem twórca. Po rozmachu potężnym ręki, czuje, że uczynił zacios, na którym historja stanąć musi, aby się nawstecz obrócić i na Grunwald spojrzeć.

A gdy do „wielkiej, świętej przeszłości“ i do „krwi ofiarnej“ mówi: „tobie cześć, tobie chwała na wieki“, — czyni to z taką wiarą i z taką siłą, jakby tem mocnem i głębokiem w swej prostocie słowem, zamykał nie okres jeden tylko walki, ale walkę całą.

A tak, ów moment dziejowy odrąbany został słowem tem, jak stroma skalna ściana niezdobytej reduty, od wszystkich późniejszych klęsk, i stanął nad ogromnem bojowiskiem wieków wyniosły, porywający oczy i ukrzepiający serca promienną wizją tryumfu, jakoby wiecznego.

I to jest tajemnica kunsztu tego konstrukcyjna, rozrządzająca budową powieści, kładąca pod nią głębokie psychiczne fundamenty. Na nich to, mimo falowania wzburzonych uczuciowych prądów, stoi dzieło jakby na kotwicy, zapuszczonej w samą głąb niewzruszonych pokładów dziejowej sprawiedliwości, na kotwicy życia i — nadziei.

Ta jest tajemnica tego nadzwyczajnego kunsztu, za sprawą której twórca, w drżący od potrącenia tysiąca strun współczesnego nam dramatu wątek, zdołał tchnąć głębokie epickie ukojenie; ukojenie, które przez samą naturę składających je czynników, musi spocząć na mocno uczutej i zwycięzkiej sile.

To mocne czucie siły, dobywa Sienkiewicz z dzieła swego, przez danie szerokiej, pewnej podstawy ludziom i wypadkom. Podstawy niezachwianej, która przed ludźmi i wypadkami była i która po nich też będzie. Owszem, która i dziś jest opoką wszelkiej siły i wszelkiej nadziei.

Ta szeroka, pewna podstawa dzieła — to ziemia.

Ziemia była, jest i będzie zawsze — żywa.

I oto coś niewzruszonego, coś bardzo pewnego osadza się głęboką warstwą w naszej wrażliwości. W Sienkiewiczowskiem dziele, ziemia, to nie krajobraz jedynie, i nie tło, i nie akcesorja. Bo krajobraz, to tylko uśmiech ziemi, albo jej zasmęcenie, albo gniew, albo tęskność, albo szata królewska, czy kmieca. A tło — to różność ziemi od obrazu życia, to jej inszość, choćby najharmonijniej zestrojona, ale przecież inszość od ludzi i faktów, akcesorja zaś, — to drugorzędność miejsca i dodatkowość wagi, to coś, co może być, ale i może nie być także.

Ale ziemia u Sienkiewicza, to przedewszystkiem grunt pod stopą życia, to źródło życia i prawo do życia. — Co się ziemi trzyma i w niej tkwi — to żyje. Tak wygląda to wielkie i pełne otuchy prawo, przesięgające prostym swym wigorem wszelkie przeciwne mu zjawisko, które też trwałej mocy nad niem nigdy mieć nie może.

Inni ośpiewali ziemię, jak kochankę; od źdźbła trawy, od rąbka jej szaty — do tatrzańskich szczytów, — tego skalnego djademu jej czoła, ośpiewali ją, jak kochankę to groźną i zimną, to miłującą i wiośnianą.

Ale Sienkiewicz widzi w niej nadewszystko i nadewszystko nam w niej pokazuje — matkę. Matkę-rodzicielkę, matkę-karmicielkę, matkę-piastunkę pokoleń, — a to przed wiekami, dziś, i na wieki jeszcze.

Więc kiedy owi inni budzą w nas zachwyt i upojenie tak lotne, że prawie porywające nas ponad przedmiot upojenia i zachwytu, ponad ziemię samą, — Sienkiewicz tuli nas do niej, zbliża, na łono jej kładzie, a serce nasze jest w jego ręku jako kwiat mdlejący, który on w ziemię wciska, ziemią umacnia, ziemią zasila, iżby mógł w niej ożyć.

Pierwsze też, naczelne i najwybitniejsze rysy ziemi w Sienkiewiczowskiem dziele, to jej żywotność i siła. Jest ona, niezaprzeczenie, i piękną ta ziemia; ale przedewszystkiem pięknością umiłowanego gniazda, i bezpiecznego fundamentu życia.

Moment powieści, przełomowa chwila kultury i głębokich ekonomicznych zmian w położeniu kraju, uwydatnia te rysy żywotności i siły, w sposób niezmiernie wdzięczny, plastyczny.

W Małopolsce ziemia już buja plonem, już kwitnie chlebem, już współpracuje z człowiekiem pilnie, zabiegliwie. Gęste i ludne wsie, drogi bite, uprawne pola, sady, pasieki, spichrze, całe to „gospodarstwo króla Kazimierzowe“, i dawniejsze jeszcze opackie, nadają jej obliczu rys mądrej skrzętności, pogodnego rozkwitu, wiary w jutro, pracy dla jutra, głęboki rys świadomej siebie żywotności.

Ale na Mazowszu i innych borowych dziedzinach, ledwie że opadają z piersi ziemi przedrwiekowe puszcze, w ogromnych hukach siekieę i toporów. Wielkie, obłędne wody, ledwie że sięciągają w co rządniejsze cieki. Tam się obnaża dopiero zatajone łono ziemi, łono przebogate, prześwieże, chcące rodzić, karmić, piastować — miljony. Wszystko tu jest wyrazem siły; owszem — siła sama. Potężne sośnie, żylaste, wzniesione w rozmachu ramię, warczący topór, głuchy poryk zwierza ustępującego borami gdzieś aż w knieje Litwy. Jakiś jędrny dech przenika te pierwsze borowe „dukty“, te ledwo że oświtłe ziemie, dech mocnego, silnie zakorzeniającego się życia, i czucia się w życiu.

Otóż te rysy naczelne ziemi, jej siłę i jej żywotność, daje nam uczuć Sienkiewicz w całem swojem dziele. W całem dziele jest ziemia widomą, ważną podstawą życia i zasadą życia, w całem dziele jest umiłowanym domem siły i domem nadziei; w całem dziele i w każdym calu swoim jest nietylko ziemią, ale i ojczyzną.

A to zarówno od strony słodyczy jej posiadania

czucia się w niej, jak i cierpienia dla niej; zarówno od strony korzyści, jak i od strony ofiary; zarówno od strony życia przez nią, jak i od strony śmierci za nią.

Między ludźmi, wypadkami a ziemią, nawiązał Sienkiewicz tak potężne węzły, tak wszystkie zjawiska życia o nią zahaczył, tak serca skróś dla niej otworzył, taką ją drogą, taką konieczną uczynił, że kiedy dla niej ludzie giną, nietylko zdaje się to nam bardzo prostem, ale i bardzo pożądanem także; i nie tylko nie ogarnia nas dziw, ale uczuwamy jak gdyby zazdrość.

Zaraz też chcielibyśmy uczynić coś takiego, coby mówiło ziemi: jestem twoim synem. I coś takiego coby mówiło ziemi: jestem twoim sługą.

Która chęć, chociażby czynem wyrazić się w danym momencie nie miała, podnosi przecież uczucia nasze aż do poziomu gotowości czynu, wzmaga je aż do natężenia energji czynu, rozżarza aż do płomienia pożądania czynu. A tak— siła i żywotność ziemi, przechodzi wprost i bezpośrednio w siłę i żywotność serc ludzkich.

I tutaj to, na tem właśnie polu, stanął Sienkiewicz tuż przy Mickiewiczu.

O samokształceniu się młodego pokolenia w Rosji.

II.

Z dwu głównych kategorji, na które podzielić można wszystkich ludzi, dążących do samokształcenia, pod względem charakteru i warunków działalności, znam dobrze tylko jedną. O tej powstającej i zupełnie nowej klasie czytelników książek poważnych, w której coraz to rosnące jądro stanowi grupa inteligentnych robotników, wiem niestety! tylko ze słyszenia, ale znam zato dobrze potrzeby umysłowe i w ogólności porywy duchowe młodzieży uniwersyteckiej. Ukończywszy uniwersytet, jako 22-letni młodzieniec, zostałem nauczycielem gimnazjalnym, następnie przez lat dwadzieścia byłem profesorem uniwersytetu, a w liczbie moich uczniów i słuchaczy nie brakło i młodzieży żeńskiej — uczenic jednego z gimnazjów żeńskich i „kursistek“, t. j. słuchaczek uniwersytetu żeńskiego, t. zw. w Rosji „Wyższych żeńskich kursów“. Znam również po części i młódź polską, przeważnie z czasów, gdy zajmowałem katedrę w Warszawie, gdzie przepędziłem lat pięć i pozostawałem z mymi słuchaczami w najlepszych stosunkach. I zawsze interesowałem się psychologją wieku młodzieńczego, owym tak zwanym „idealizmem młodzieży“, tym szczególnym nastrojem, który ją opanowywa w wieku między 17 i 18 a 21 i 22 rokiem życia, gdy umysł jej zaczyna bujać po szerokich przestworzach prawdziwej, życiowej wiedzy, a jakiś głos wewnętrzny natarczywie domaga się rozwiązania „przeklętych zagadek“ życia. Jestto najlepsza pora dla samokształcenia się, wówczas bowiem rozpoczyna się w człowieku samodzielna praca nad własnym światopoglądem, badanie znaczenia i celu życia, rozwiązywanie tysiącznych etycznych i społecznych zagadnień, nurtujących jego duszę. To doba pierwszych zwątpień i rozczarowań, ale też i pierwszych zachwytów wobec idei prawdy i sprawiedliwości, doba zapału dla nowych poglądów i szukania drogi życia, doba gorących sporów o zagadnieniach najbardziej abstrakcyjnych i serdecznych wynurzeń w poufnych gawędach i listach do przyjaciół, zawierających zwierzenia o najtajniejszych drgnieniach duszy. W tej to epoce swego życia, młodzież najchętniej obcuje ze sobą, tworzy kółka, w których wre życie umysłowe, w których się feruje niezliczone wyroki w kwestjach religijnych i etycznych, nauki i polityki, uprawia wspólną lekturę, a każdy pragnie jak najrychlej podzielić się z kolegami najnowszymi własnymi, albo tylko co zdobytymi z książek poglądami. Brałem osobiście udział w takich kółkach, a następnie obserwowałem je za pośrednictwem znajomych studentów, którzy w poufnych pogawędkach to z zachwytem, to znowuż pełni zwątpień, opowiadali mi o swych pracach wspólnych, o dyskusjach, a niekiedy i o waśniach w swych kółkach. W kilku wypadkach miałem też możność gruntownego poznania wewnętrznej strony życia niektórych młodzieńców w tej ich „Sturm und Drangperiode“. W pamięci mej ukazuje się cały szereg ludzi młodych, zrazu naiwnych, bez doświadczenia, ale już „łaknących i pragnących prawdy“, a widziałem jak zaspakajali oni ten swój głód i owo pragnienie i duch ich rósł pod wpływem nauki uniwersyteckiej, życia koleżeńskiego i lektury. Zdarzały się inne wypadki, które pozwalały mi zapuścić wzrok w ów wewnętrzny świat młodzieży akademickiej. Przez czas bowiem pewien prowadziłem z nią długie dyskusje o celach i sposobie samokształcenia, a ich rezultatem była napisana przezemnie książka p. t. „Listy do młodzieży szkolnej o samokształceniu“ (Piśma k uczaszczejsia mołodioży o samoobrazowanii), którego cel powinien, zdaniem mojem, polegać na urobieniu samodzielnego światopoglądu. Drukując owo dziełko, nie rachowałem na wielki zbyt i ograniczyłem się na 1500

egzemplarzach, ale pierwsze jej wydanie rozeszło się tak szybko, iż potrzeba było kilku jeszcze nakładów, a i ostatni — szósty — jest już wyczerpany tak, że ogółem rozeszło się około 15 tysięcy egzemplarzy. Że dziełko to odpowiedziało istotnej potrzebie, tego dowodzą jego przekłady na języki: czeski, bułgarski i, zdaje się, chorwacki i dwie prośby o pozwolenie przekładu na język polski. Kiedy pojawiły się te „Listy“, a jako uzupełnienie „Gawędy o pracy nad urobieniem światopoglądu“ (Biesiedy o wyrabotkie misozercanija), które zdobyły sobie wśród młodych mych czytelników równe uznanie, zasypany zostałem całą masą rzeczywistych listów od młodzieży ze wszystkich końców rozległej Rosji. Zachowałem wszystkie listy, cały ów zbiór prawdziwych dokumentów psychologji młodzieńczej, w których, że tak powiem, skrystalizowały się wszystkie owe porywy młodzieńczego idealizmu. Nie brakło tu i wyrzutów, a czynili je z młodzieży, ale nie szkolnej, ci, którym los nie pozwolił kształcić dalej, którzy już od lat wczesnych musieli zarabiać na chleb powszedni, niekiedy nietylko dla siebie, ale i dla swych rodzin, dla matek, sióstr, braci. Wyrażając mi swe współczucie, skarżyli się oni jednak, że mówiąc o tem, dla kogo „Listy“ swe przeznaczam, pominąłem ich milczeniem, a w tych skargach zapoznałem się z wewnętrznym światem tej młodzieży, z którą w życiu rzadko tylko zetknąć się miałem sposobność.

III.

W ciągu tych wieloletnich moich obserwacji nad pojedynczymi przejawami owych dążności ku urobieniu światopoglądu, na powierzchni społecznego życia Rosji, wystąpiło kolejno kilka panujących prądów, a wszystkie one odbijały na sobie nastrój młodzieży. Rzecz to zupełnie i jasna i naturalna, że młodzież, a zwłaszcza głowy najmłodsze, „zielone“, jak mówią w Rosji, najłatwiej zapalają się do nowych kierunków, nie zawsze znając ich genezę historyczną, oraz ich stanowisko w ogólnym biegu życia. Za moich lat młodzieńczych niepodzielnym „panem myśli“ (włastitielem dum) najmłodszego pokolenia, był Pisarew. Był to człowiek również jeszcze bardzo młody, szczery i zapalny i porywający innych swą szczerością, pisarz obdarzony olbrzymim talentem literackim, znakomity popularyzator i niezrównany polemista. Indywidualista do szpiku kości, stworzył Pisarew typ „myślącego realisty“, odrzucającego precz wszelką „Scholastykę“ i „estetykę“, a gruntując natomiast cały swój pogląd na świat na przyrodoznawstwie. Działo się to w drugiej połowie siódmego lat dziesiątka. W dziesięcioleciu następnem czysto indywidualistyczna filozofja Pisarewa, sprowadzająca cały świat myśli do przyrodoznawstwa tylko, ustąpiła miejsca kierunkowi, w którym na plan pierwszy wysunęła się idea społeczeństwa. Podjęto sztandar socjologji, jako nauki, dokoła której winna skupić się uwaga „krytycznie myślących jednostek“, nauki powołanej do wcielenia w życie ideałów prawdy i sprawiedliwości. Przyrodoznawstwo miało być podporą tej nauki społecznej, która jednakże posiada byt własny, niezależny od tej pierwszej. Były to czasy, kiedy powstawała rosyjska szkoła socjologiczna, oparta o pozytywizm Comte'a, a usposobiona krytycznie dla socjologicznych teorji Spencer'a i darwinistów, w imię dwóch zasadniczych swoich poglądów. Spencer identyfikował społeczeństwo z organizmem i tem przyrównał jednostkę ludzką do zwykłej komórki organizmu społecznego, podczas gdy socjologja rosyjska przeciwstawiła tej komórce jednolitą jednostkę ludzką, walczącą o swą indywidualność, o swobodę i pełnię swego *ja*. Z drugiej znowu strony, socjologowie darwiniści usiłowali oprzeć całą filozofję społeczną na walce o byt, na bellum omnium contra omnes, podczas gdy krytycy rosyjscy, sami hołdujący darwinizmowi w bjologji i antropologji, głosili, iż zasadniczym rysem życia społecznego jest solidarność, a cały postęp społeczny polega na jej umacnianiu i rozszerzaniu, oraz dążeniu do przeistoczenia jej w solidarność sprawiedliwą, t. j. taką, która zatarłaby ostatnie ślady zoologicznej walki o byt — wyzyskiwanie człowieka przez człowieka.

Głównym organem tej filozofji społecznej był miesięcznik „Otieczestwiennyja Zapiski“, w którym umieszczały swe prace najwybitniejsze owoczesne siły literackie: Sałtykow - Szczedrin — w dziedzinie społecznej i politycznej satyry, Niekrasow — w poezji o tematach społecznych, Uspienskij — w sferze belletrystyki o pierwiastkach publicystycznych, Ławrow — jako filozof-moralista i socjolog. Wszyscy ci pisarze ustąpili już z pola, na placu pozostał jeden tylko ich towarzysz bojowy, Michajłowskij, znakomity krytyk literacki, publicysta i socjolog. Poglądy „Otieczestwiennych Zapisek“ były, oczywiście, pełniejsze i szersze, bardziej naukowe i społecznie głębsze od poglądów Pisarewa, ale w dziewiątym lat dziesiątku część młodzieży uległa wpływowi filozofji Lwa Tołstoja, stanowiącej krok, i nawet bardzo znaczny, w tył. Myśl poprawy stosunków społecznych, ustąpiła miejsca idei osobistego doskonalenia się, program walki o wcielenie w życie prawdy i sprawiedliwości zasadzie „nie walczenia ze złem“ i „abstynencji“ czyli „nierobienia“ („nie protiwlenija złu“, „niedielanija“), duch naukowy — mistycyzmowi religijnemu o pokroju sekciarskim. Ale zapał ten był krótkotrwały i w ciągu ostatniego dziecięciolecia XIX. w. odżyły prądy społeczne i naukowe, ale zarazem nastąpiła nowa faza ewolucji, a mianowicie pojawiła się nowa grupa pisarzy, wypowiadająca wojnę kierunkowi socjologicznemu ósmego lat dziesiątka w imię materjalizmu ekonomicznego, który odrazu zdobył sobie wśród młodzieży liczne zastępy zwolenników.

Jak widzimy, w ciągu ostatnich dziesięcioleci młodzież rosyjska poszukiwała prawdy na drogach rozmaitych — i na drodze osobistego

doskonalenia się wedle diametralnie przeciwnych wskazań Pisarewa i Tołstoja, i na drodze przekształceń społecznych wedle również nie przystających do siebie poglądów, t. zw. w Rosji „socjologji subjektywnej“, oraz materjalizmu ekonomicznego. Ale rys ogólny i zasadniczy wszystkich porywów tej młodzieży, stanowi poszukiwanie prawdy, niezwykła chęć poznania siebie i zrozumienia otaczającego świata, ale i dążenie do gruntownego zbadania, na czem polega najwyższe przeznaczenie, godność, oraz prawo jednostki ludzkiej i jakiem powinno być społeczeństwo, dające tej jednostce możność życia, godności tej odpowiedniego.

Innemi słowy w dążnościach młodzieży rosyjskiej na polu samokształcenia, pierwiastek humanitarny, etyczny i społeczny przeważa nad pragnieniem poznania przyrody. Nawet w epoce Pisarewa, który tylko przyrodoznawstwo uznawał za przedmiot, godny uwagi „myślących realistów“, zagadnienia życiowe w rzeczywistości brały górę nad problematami czysto abstrakcyjnymi. A szczególny rys charakterystyczny tych dążeń młodzieży rosyjskiej do samokształcenia, stanowi i ta jeszcze okoliczność, iż studenci matematycy, przyrodnicy, medycy i technicy w ogólności, daleko bardziej interesują się lekturą z dziedziny etyki i socjologji, historji i ekonomji politycznej, aniżeli słuchacze fakultetu historyko-filologicznego oraz prawnego, z dziedziny przyrodoznawstwa — aczkolwiek nie można zaprzeczyć, że i te dwie ostatnie kategorje starają się zapoznać z zasadniczemi zagadnieniami i teorjami nauk przyrodniczych.

3) ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

Panowie słuchali, przenosząc wzrok z Koziny na prezydenta. Niektórzy jednak siedzieli z pochylonemi głowami, jak gdyby to, co się działo dookoła, nie obchodziło ich w stopniu najmniejszym — a jeden z nich, na ławie doktorskiej zasiadający, Jan Krystyn Paroubek, odrobinę zezowaty, bawił się długiemi nożycami kancelaryjnemi, probując palcem ich ostrza, przyczem od czasu do czasu krzywił szerokie usta.

Po pierwszych zaraz pytaniach, Kozina zdziwił się, że sprawa taki właśnie bierze obrót i że sąd tak jest dokładnie o wszystkiem powiadomiony. Pytano go wyłącznie o zajścia w wioskach chodzkich, przeciwko którym on sam występował energicznie, ale bezskutecznie: pytano o bójki z leśnikami i gajowymi, o kłótnie z hajdukami dworskimi i temu podobne rzeczy. Kozina tłumaczył się, że świadkiem ich nie był, ale dodał natychmiast, iż podobne zajścia zdarzają się wszędzie i gdyby wszyscy panowie wnosili o to skargi aż do Pragi, toby wysoki sąd nie mógł nigdy skończyć swoich posiedzeń.

Na te słowa pełnomocnik Lammingera poruszył się niespokojnie, sekretarz Kupiec, który prowadził protokół, spojrzał bacznie w twarz śmiałego górala, a doktor Jan Paroubek, gładząc ostrze nożyc, wykrzywił usta w lewo tak silnie, aż mu się cały policzek sfałdował.

Kozina tymczasem mówił dalej, starając się usprawiedliwić postępowanie Chodów głęboką wiarą w niewygasłe prawa i nadzieją w ich odzyskanie, rozbudzoną tem bardziej łaskawem przyjęciem deputacji w Wiedniu, jako też listami adwokata Sztrausa, który pewne obiecywał zwycięstwo.

Teraz z kolei hrabia Kolovrat podniósł schyloną głowę i spojrzał na swego sąsiada, hrabiego Wratysława, który spojrzenie to widocznie zrozumiał, bo skinął potakująco.

Ale prezydent przerwał ostro Kozinie, powtarzając z naciskiem, że według otrzymanych relacji, Chodowie zachowywali się wobec swego pana jako buntownicy. On zaś, Kozina, powinien tem poważniej zastanowić się nad chwilą bieżącą i głębszą okazywać skruchę, że sam zawinił najbardziej. Zaczem jęły następować, jedno po drugiem, pytania, odnoszące się do starej lipy granicznej i bójki pod nią, do ukrywania w domu dokumentów chodzkich, do zuchwałych odpowiedzi, które pobudzały innych do oporu, a wreszcie do udziału w pochodzie zapustnym, wyprawionym na pośmiewisko panom.

Pytania te gniewem zapalały serce młodego Choda. A więc nie dość było Lammingerowi pastwić się nad nimi, odzierać, — do gwałtów i bezprawia dołączył jeszcze obmowę, skargi. Chce ściągnąć na nich karę! A w dążeniu do tego celu nie gardzi nawet kłamstwem!

Kozina starał się panować nad sobą, pomimo to jednak głos mu drżał oburzeniem wewnętrznem, gdy przemawiał w obronie własnej i sąsiadów. Nie odpierał zarzutów co do starej lipy, ale tłumaczył zachowanie się swoje, powołując na prawa własnej rodziny i na przywileje, przez królów nadane, których obrona należy do najświętszych obowiązków każdego Choda.

— Nasi ojcowie byli wolni — mówił, zapalając się coraz bardziej — i my odzyskać pragniemy swobody, słowem królewskiem poręczone. Bez żadnego powodu, ni stąd ni zowąd, narzu-

cono nam jarzmo poddaństwa... Wysoko urodzeni panowie, raczcie pomyśleć, coby czuły serca Waszych Miłości, gdyby tak nagle kazano wam być chłopami!...

Teraz wszystkie już spojrzenia podniosły się na młodego Choda. Jedni z sędziów spoglądali chmurnie, inni ze zdumieniem, a doktor Paroubek, zapominając na chwilę o nożycaah, otworzył usta w szerokim uśmiechu i wlepił zezowate źrenice w śmiałego obrońcę praw chodzkich.

Towarzysze górale dziwili się tymczasem długiej nieobecności Koziny. Wrócił wreszcie z twarzą zapłonioną i błyszczącemi oczyma. Drobniutkie krople potu zraszały mu czoło. Zajmując miejsce obok Syki, machnął jeno ręką. Milczał, ale znać było po nim wzruszenie głębokie. Zaczem wezwano Sykę, a następnie Pajdara i kilku innych, ostatnich.

Lżej zrobiło się wszystkim na sercu, gdy woźny w czerwonym kabacie zjawił się znowu i oznajmił, że mogą już odejść. Kiedy opuszczali gmach sądowy, słońce przekroczyło już było południe. Zaniepokojeni i smutni wracali z Hradczan do miasta. Syka przerwał pierwszy milczenie:

— Jechali my do Pragi szukać sprawiedliwości — mówił z goryczą — ale nie po to, co bychmy sami siebie bronili. Lomikar nie zasypiał, jak widać, gruszek w popiele. Poradził pieknie nas opisać i odmalować.

— Probowałech mówić o naszych przywilejach, o naszych dokumentach — skarżył się Hruby — ale sędziowie ani słuchać nawet nie chcieli. Wciąż ino o bójkach, o maszkarach...

— A tak-ech was prosił, błagał! — wybuchnął Kozina, patrząc z wyrzutem na Ecla i Brychtę. Ale Brychta odpowiedział mu, klnąc jeno Lammingera.

— Dopytywali się też o listy Sztrausa i Justa — rzekł Niemiec z Miodakowa, przyczem wyszło na jaw, że o to pisanie dowiadywano się u wszystkich po kolei.

Z ciężkiem sercem przekroczyli próg swojej gospody. Smutek mroczył im wszystkim czoła, najbardziej jednak przygnębionymi byli Syka i Kozina.

W sali sądowej na Hradczanach panowie mieli się do odejścia. Na prawo, doktor Piotr Birelly dowodził, już stojąc, koledze swemu Michałowi Knechtowi, że takich chłopów, jak ci Chodowie, niema z pewnością nigdzie w całem królestwie czeskiem.

— Ani takiego mowcy, jak Kozina — dorzucił doktor Paroubek, zbliżając się ku rozmawiającym. — świetny byłby z niego adwokat! Zauważyliście tę jego apostrofę?... — tu zamrugał zezowatem okiem w kierunku ławy ziemiańskiej i rycerskiej, kędy szlachta skupiała się koło prezydenta, hrabiego ze Szternberka. Mówiono tu również o Chodach.

— Biedacy! — litował się nad nimi hrabia Wratysław.

— Obałamucono ich, okłamano! — mówił hrabia Kolowrat. — Ten ich wiedeński adwokat to łotr. Obiecywał im złote góry, cóż dziwnego, że się dali omamić, że święcie uwierzyli w swoje prawa...

— Uczynię, jakem to już powiedział: zażądam przez władze miejscowe wydania listów Sztrausa — zauważył prezydent.

— Ale ktoś z nich powoływał się przecie i na obecnego adwokata, zapewniając, że i ten nie wątpi w wygranę — uśmiechnął się z politowaniem pan Asterle z Astfeldu.

— Za pozwoleniem — wmieszał się do rozmowy szlachciców doktor Paroubek — adwokata tego znam bardzo dobrze. Jest nim pan Błażej Tunkl z Berniczka — i doktor Paroubek uśmiechnął się dziwnie.

— Ah — pan Tunkl! — zawołał hrabia Wratysław. – Więc już takich nawet procesów się podejmuje!...

— I jak je prowadzi! Żal mi sakiewki biednych Chodów!

Ostatnie słowa doktor Paroubek powiedział takim tonem i z taką miną, że wszyscy poważni panowie, w olbrzymich fryzowanych perukach, zgodnym wybuchnęli śmiechem.

(C. d. n.)

JULJUSZ ZEYER

(wspomnienie pośmiertne).

Głęboki smutek roztoczył czarne swe opony nad ziemią naszych pobratymców, Czechów. Oto bowiem jeden z największych i najlepszych między nimi duchów opuścił ziemską powłokę, ulatując ze świata na zawsze. Umarł Juljusz Zeyer, genialny poeta i szlachetny człowiek, jakiemu równych mało posiadają nietylko Czechy, ale i cały świat cywilizowany współczesny. To też i my współczując z naszymi współplemieńcami z zachodu w ich cierpieniu, spieszymy rzucić na trumnę ich poety grudkę ziemi, i przy tej smutnej okazji przypominamy go ogółowi inteligentnej polskiej publiczności,

Urodził się śp. Juljusz Zeyer 26. kwietnia 1841 roku, jako potomek szanowanej wysoce rodziny praskich obywateli. Po ukończeniu studjów realnych, oddał się intensywnej nauce obcych języków, zarówno dawnych: łacińskiego, greckiego i hebrajskiego jak i współczesnych tj. angielskiego i francuskiego. W tych czasach

rozpoczął on też swoją działalność pisarską którą z początku a i później cechowało szczególnie upodobanie w tematach religijnych, chętne przebywanie w świecie bajek i miłość przeszłości. Podwalinę tego upodobania stworzyła stara niańka, która wyobraźnię małego Juljusza karmiła fantastycznymi powiastkami i bajkami przysposabiając tak umysł chłopca do przyszłej jego karjery, jako epika i autora historycznych dramatów. Zeyer sam wystawił jej najspanialszy pomnik, poświęcając jej słowa gorącego uczucia wdzięczności w przedmowie do poematu „Karolińska Epopeje“. Całości zaś dopełniło wykształcenie, zdobyte studjami lingwistycznymi i rozczytanie się w utworach klasycznych i współczesnych, pisanych w językach, których się wówczas uczył.

Niepodobna pod wpływem pierwszego wrażenia zcharakteryzować w szczegołach twórczości poetyckiej zmarłego, i na razie można tylko wspomnieć o najważniejszych utworach. Otóż wystawiony przed trzema laty dramat jego „Z doby ružoweho jitra“ należy do najczystszych pereł poetyckich, jakie posiada literatura dramatyczna. Prześliczna Bajka dramatyczna „Raduz a Mahulena“, która stanowi sztukę, nie schodzącą z repertuaru czeskiego teatru, reprezentuje znowu twórczość Zeyera w tym rodzaju poezji. Najpotężniejsze wrażenie wywołał jednak Zeyer wspaniałym dramatem „Neklan“, który przetłumaczony na kilka języków obcych rozprzestrzenił sławę swojego twórcy szeroko poza granicami kraju podzinnego. Z epickich dzieł Zeyera zasługuje przedewszystkiem na uwagę jego cykl epopej „Vyśehrad“ i wspomniana już powyżej „Karolińska epopeje“. Jego zaś poematy „Libuša“, „Vlasta“, „Ctirad“ i „Lumir“ oraz „Z letopisu lasky“ i „Tri legendy o križi“ stanowić będą po wszystkie czasy klasyczne wzory poezyi w czeskiej literaturze.

We wszystkich tych utworach, obok wspomnianych już zalet poetyckich i kamiennego zapatrzenia się w przeszłość, cechuje Zeyera pewnego rodzaju romantyczny mistycyzm. Nadając jego dziełom pewien specjalny urok, czyni on je jednakowoż, pomimo tryskającego z każdego słowa talentu, trochę nie przystępnymi dla szerokich mas czytającego ogółu. Dzięki temu Zeyer nie doczekał się za życia tej pociechy, żeby wartość jego poezji została ogólnie, choć w części tak głęboko wyczutą i ocenioną, jak na to zasługuje. Wiedział on o tem sam, ale nadzwyczajna literacka uczciwość nie pozwoliła mu napisać ani literki dla samego poklasku. Przeciwnie, materjalistyczny chaos, wrzącego dokoła niego życia codziennego, odpychał go od siebie. Przenosząc towarzystwo wybranych duchów nad zgiełkliwe uznanie powszechności, uciekał poeta na owe szczyty, gdzie mógł w gronie podobnych sobie samotników błądzić z głową, tonącą w obłokach ideału. I dlatego to, wszystko, co stworzył, nosi na sobie blask światła, nie zbrukanego przejściem przez pełzające przy ziemi wyziewy. Co do tego zaś, iż go ci, którzy tylko żyją w tej atmosferze nie całkiem pojmują, pocieszał się Zeyer zawsze tem, że buduje dla potomności, która go godnie ocenić potrafi.

Dwa tomy przekładów dzieł Zeyera, dokonanych przez p. Przesmyckiego, wyszły w *Bibljotece najcelniejszych utworów*. Niestety mało są znane, zbyt mało zwłaszcza, że Zeyer był wielkim przyjacielem narodu polskiego.

Umarł Zeyer w przeddzień pierwszego przedstawienia dramatu swego „Sulamit“. Choroba, która teraz położyła kres jego życiu, t. j. wada serca wybuchnęła jeszcze na wiosnę ubiegłego roku. W lecie polepszyło mu się cokolwiek, ale w jesieni stan poety stał się już tak groźnym, że o przyjściu do zdrowia, nie było już mowy. Następstwem choroby sercowej była wodna puchlina, która oprócz niesłychanych boleści spowodowała zaburzenia w oddychaniu, tak, że śp. Juljusz musiał całymi dniami siedzieć w skulonej pozycji. W takich warunkach nic dziwnego, że niebawem pokazały się objawy melancholji. Wreszcie około ostatnich świąt Bożego Narodzenia zaczęło się już powolne konanie, którego upragnionym końcem, wobec absolutnej bezsilności lekarzy, stała się śmierć. Ona wybawiła go od cierpień i ona dziś sprawia, że nad mogiłą wielkiego poety padają pierwsze wieńce głębokiego uznania, którego nie dożył, ale które mu się od potomności bezwarunkowo należy.

Z Syberji i Kamczatki

przez dra Benedykta Dybowskiego.

(Ciąg dalszy).

Już w latach 70-tych, gdyśmy bawili nad rzeką Arguniem, czytaliśmy podanie kozaków Curuchajtujskich, w którem proszą generał-gubernatora, ażeby uzyskał dla nich u cara pozwolenie do zabrania prawego brzegu Argunia, bogatego, jak się wyrażali petenci, w drzewo budulcowe i opałowe, wtedy, gdy na lewym brzegu niema ani lasów ani łąk dobrych. Naiwną była ta prośba, ale streszczała w sobie pragnienia ludności pogranicznej, biorąc ją w całości od zachodu, aż do wschodu dalekiego. Wszędzie, gdzieśmy mieli sposobność dotarcia do granicy chińskiej, napotykaliśmy u mieszkańców żądzę nienasyconą zagrabiania sąsiedniego terytorjum i to w silnym stopniu uwydatnioną. Każda wieś, każda stanica wdziera się na własną rękę w posiadłości obce, a czyni to albo przemocą, albo przekupstwem.

Potrzebę anneksji całych Chin północnych, rozumieli dobrze i zarządzający krajami Amurskim

i Ussuryjskim. Tak n. p. generał Busse i generał Piedaszeńko, gubernatorowie kolejni w Błahowieszczeńsku, wskazywali na konieczność zaboru, i to już przed rokiem 1869. Zaś jeszcze dawniej, bo w wieku XVIII., starostowie Irkuccy zamierzali mocą przekupstwa, połączyć się na drodze duchowej z sąsiadami; pragnęli oni osadzić na tronie papiesko-mongolskim w Urdze, kutuchtę, czyli półboga ziemskiego, pochodzącego ze krwi rosyjskiej. Już miano nawet całe jakoby zgromadzenie kardynałów mongolskich za sobą, którzy się zgadzali na to, ażeby kutuchta odradzał się na ziemi prawosławnej i dawał możność rządzenia duszami trzody mongolskiej satrapom wschodniej Syberji, ale niestety myśl ta genjalna, stwierdzenia środkami dotykalnymi powinowactwa duchowego i cielesnego pomiędzy sąsiadami, a w tym wypadku za pomocą boskiej postaci kutuchty, wcielającego się w poddanych rosyjskich, rozbiła się o brak funduszów; rozbita wszakże nie zaginęła, przeciwnie wyłania się myśl ta i przybiera rozmaite formy stosownie do okoliczności. Nie obcą jest ona nawet na rubieżach zachodnich, tylko że kutuchta występuje tutaj w postaci proroków słowiańskich. Ewentualność zaboru Chin, w mniejszych lub większych rozmiarach, przewidywał Bakunin, ale on był przeciwny wszelkim zaborom w Azji, czuł bowiem, że zdobycze te dla rdzenia narodów słowiańskich żadnej korzyści przynieść nie mogą, a tylko wobec sąsiada zachodniego, czyhającego na zagładę znienawidzonej przez niego rasy, zgubnemi stać się muszą. Czy obliczono, przystępując do dzieła olbrzymiego, wszystkie następstwa, jakie wywołać powinna budowa kolei syberyjskiej, czy przewidywano przeszkody i czy potrafią je usunąć, przyszłość pokaże, dzisiaj to tylko jest rzeczą pewną i dla każdego myślącego umysłu jasną, że popełniono błąd wielki, nie zapewniwszy sobie tych korzyści, jakie, idąc za radą życzliwą patrjoty słowiańskiego, osiągnąć byłoby można.

Na zakończenie ustępu o kolei syberyjskiej, mającej niezmierne znaczenie i dla nas, podaję jeszcze słów parę, streszczając opinję osób, które odbywały podróż po tej drodze. Powiadają one, że zjawiła się potrzeba zmiany szyn lekkiego formatu na szyny ciężkie, zdolne wytrzymać przebieg ciężkich pociągów i w większej ich ilości. Następnie nasypy okazały się za wąskie, a nieprzewidziana na razie potrzeba drugiego toru, o którym mowa obecnie, jest uniemożliwioną rozmiarami zbyt wązkich mostów. Wskutek tego wszystkiego, co tu powiedziano, oraz wskutek zasp śnieżnych, zamieci i mrozów niezwykłych, kolej syberyjska nie wytrzymałaby współzawodnictwa z projektowaną przez Anglików koleją wzdłuż Chin południowych, Tybetu, Indji, Persji, aż do kanału Suezkiego, a z drugiej strony przez Bosfor do Konstantynopola i do koleji Europejskich. Ażeby módz konkurować skutecznie z rzeczoną koleją, syberyjska musiałaby być z gruntu przebudowaną. Zachodzi jednak pytanie, czy i bez tej konkurencji przebudowanie nie okaże się koniecznem.

Z pism i książek.

Jozafat Nowiński. — Sienkiewicz — Warszawa — Gebethner i Wolf 1901. Jestto wydawnictwo jubileuszowe, chociaż nie ma tego charakteru wyraźnie na okładce zaznaczonego. Ogromny pietyzm dla dzieł wielkiego pisarza widnieje z każdej nieledwie stronnicy tej książki, którą trudno by nazwać krytycznym rozbiorem, lub studjum estetycznem, ale raczej apoteozą Sienkiewicza.

Autor opisuje bowiem wyłącznie prawie osobiste wrażenia odniesione z czytania wspaniałych opisów twórcy „Potopu“, podaje charakterystykę wszystkich nieledwie postaci, których taka ogromna masa przesunęła się od „Szkiców węglem“ począwszy a na „Krzyżakach“ skończywszy: Dla przeciętnego czytelnika książka p, Nowińskiego stanowić może pożyteczne *reasume*, kontrolę osobistych wrażeń rozproszonych przy czytaniu dzieł Sienkiewicze w miarę jak one wychodziły a więc wrażeń z różnych czasów i różnych okoliczności.

Dr. Jan Stella Sawicki. — Czerstwa starość. Warszawa, Gebethner i Wolf 1901. Autor rozbiera kwestję „jak zachować zdrowie do późnego wieku“ w jasnym, popularnym wykładzie. — Jestto hygiena podeszłego wieku opatrzona mnóstwem rad doświadczonego lekarza, a celem jej zapewnienie postępującym w myśl zawartych tam wskazówek czerstwej starości, pozbawionej wprawdzie wielkich uniesień wieku młodego, ale obfitującej przecież w rozmaitego rodzaju rozkosze życia. Dziełko godne przeczytania i rozwagi nie tylko dla starych i dla młodzieży, jako nauka „jak zachować zdrowie“.

Jak powinna wyglądać nowoczesna szkoła średnia? skreślił J. K. Całczyński prof. gimn. Rzeszów 1900. Dążenie do reformy obecnego spróchniałego systemu edukacyjnego w gimnazjach, znalazło w tej niewielkiej broszurze żywy wyraz. Autor stoi na stanowisku dzisiejszych planów naukowych, uważając, że tylko daleko idące poprawki i zmiana systemu nauczania, zdołałyby złe usunąć. — Nowy ten system oparty być powinien na nauce szkolnej z nieznacznem tylko przygotowaniem się w domu i ze zniesieniem dzisiejszego trybu egzaminacyjnego, który jest torturą dla młodzieży. — Odnośnie do nauki języków klasycznych zajmuje autor stanowisko neutralne, zaznaczając tylko zbyt wielkie przeciążenie uczniów autorami greckimi i łacińskimi. Słuszne bardzo są wreszcie uwagi prof. Całczyńskiego — co do skażenia mowy ojczystej w gimnazjach najrozmaitszymi makaronizmami, a krytyce obecnego systemu wymierzania kar dyscyplinarnych uczniom za pomocą złych not z obyczajów i pilności szczerze tylko przyklasnąć należy.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów ul. Kopernika 5.